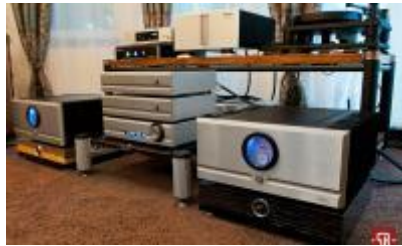


# Pass Laboratories XP-30 & XA 100.8 „Żarty się skończyły”



Są marki, których nazwy rozpalają wyobraźnię i przyspieszają tętno tysiącom audiofilów na całym świecie. Są marki, których wyroby wyznaczają pewne trendy, wyprzedzają swoje czasy, bądź po prostu stają się kamieniami milowymi High-Endu, wzorcami godnymi naśladowania, podpatrywania a czasem i kopiowania. Jednak przypadki marek potrafiących utrzymać się na rynku, osiągnąć niepodważalny status legendy a jednocześnie, oprócz aktualnej oferty utrzymywać sekcję KITów (zestawów do samodzielnego montażu), bądź udostępniać schematy części swoich projektów możemy policzyć na palcach jednej ręki i to ręki długoletniego pracownika tartaku, w którym przepisy BHP i dbałość o kompletność własnych kończyn traktowano z dość dużym marginesem błędu. Mowa oczywiście o Audio Note i producencie urządzeń będących tematem niniejszej recenzji, czyli ... Pass Laboratories. Tym oto sposobem dotarliśmy do dzisiejszych bohaterów – drugiego od góry, ulokowanego tuż za topowym, kosztującym 38 000 \$ XSem, trzysegmentowego przedwzmacniacza XP-30 i ponad 50-kg, pracujących w szlachetnej klasie A końcówek mocy XA 100.8.



Ciekawe, czy Państwo, podobnie jak ja, patrząc na dostarczoną przez warszawski Audio Klan dzieloną amplifikację doszli do wniosku, że jak na dostępną moc, klasę pracy i przede wszystkim w porównaniu z trzyczęściowym przedwzmacniaczem amerykańskie monobloki prezentują się nader zgrabnie. Grube szczotkowane płyty aluminium stanowiące ich fronty zdobią centralnie umieszczone okrągłe, delikatnie (czyli mamy element informacyjno-dekoracyjny, a nie irytująco-oślepiający) podświetlone na niebiesko bulaje ze wskaźnikiem wysterowania otoczone anodowanymi na czarno pierścieniami. Zlokalizowane tuż pod nimi, również okrągłe włączniki główne i rozchodzące się od nich na boki eleganckie podfrezowania przełamują optycznie jednolite płaszczyzny. W prawym dolnym rogu znalazło się jeszcze miejsce na niewielkie logo. Z oczywistych względów standardowe boki zastąpiono potężnymi radiatorami a w celu poprawienia cyrkulacji powietrza wewnątrz monosów ich płyty wierzchnie pokryto logicznie rozplanowaną (tuż nad źródłami ciepła) podłużną perforacją.

Ściana tylna to już świetny przykład połączenia prostoty z ergonomią. Poczynając od solidnych uchwytów ułatwiających przenoszenie, poprzez podwójne (fani bi-wiringu już pewnie zacierają ręce) szeroko rozstawione terminale głośnikowe na sygnałowych gniazdach wejściowych RCA/XLR skończywszy wszystko jest nie dość, że na swoim miejscu, to jeszcze usytuowane tak, że nie tylko nie sposób, choćby przy śladowej uwadze się pomylić, ale i samo ułożenie za urządzeniami nawet najbardziej opornych na nasze starania kabli nie powinno stanowić najmniejszego problemu. Gniazdo zasilające i włącznik główny zlokalizowano centralnie, tuż przy dolnej krawędzi a całość uzupełniają terminale 12V triggerów i gniazdo uziemienia.



Jak sama nazwa i analogiczny progres w stosunku do niższych modeli (jednosegmentowego XP-10 i dwusegmentowego XP-20) wskazują XP-30 jest topowym, oczywiście w obrębie linii XP, a zarazem jedynym trzyczęściowym przedwzmacniaczem w ofercie Passa. Podział funkcjonalności oparto nie tylko na logice, ale i pozostawiono furtkę do ewentualnej – dalszej rozbudowy. Sekcja kontrolna mieści w sobie zasilanie a dwa pozostałe moduły zawierają układy wzmacnienia, jednak dzięki wspomnianej modułowej konstrukcji można uzyskać nawet 6-kanalową konfigurację i w trybie pass-thru współpracować z zewnętrznym procesorem kina domowego.

Tylne ściany segmentów przedwzmacniacza prezentują isticie skrajne wykorzystanie dostępnej przestrzeni. Od minimalistycznej oszczędności sterownika ograniczonej li tylko do gniazda zasilającego, dwóch szyn komunikacyjnych i pary terminali 12V triggerów, po niemalże znany z procesorów kina domowego natłok wszelakiej maści przyłączy. Nad wyraz intrygująco wyglądają magistrale komunikacyjne pomiędzy sterownikiem a stopniami wyjściowymi, gdyż oparto je o porty łudząco podobne do starych gniazd drukarkowych, czyli pocziwych portów szeregowych w standardzie Centronics (LPT). Oprócz nich moduły wzmacniające wyposażono w zdublowane pary wyjść Master/ Slave i to zarówno w standardzie RCA, jak i XLR. Podobnie potraktowano pozostałe interfejsy, gdyż zarówno pętlę magnetofonową, tzw. przelotkę (Pass Thru), jak i pięć wejść liniowych obsłużyć możemy zarówno przewodami zbalansowanymi, jak i RCA.

Warto też zajrzeć do instrukcji, w której zamiast zwyczajowych poglądowych rysunków, diagramów i schematów na kilkunastu stronach prostym językiem opisano, co i w jakiej kolejności należy zrobić, żeby wszystko zadziało tak, jak należy. Jeśli jednak nie zadziało to pomocą służą nie tylko help-desk, ale, co jest rzeczą wręcz niespotykaną, również Wayne Colburn i ... sam Nelson Pass. Co istotne podano adresy mailowe obu Panów! I to się nazywa właściwe podejście do Klienta – skoro wydałeś swoje ciężko zarobione pieniądze na nasz produkt, wiedz, że zrobimy wszystko, byś poczuł się w pełni usatysfakcjonowany. Tak właśnie pracuje się na miano legendy.



Inaugurujący krytyczny odsłuch album Jorgosa Skoliasa i Bogdana Hołowni „...tales” okazał się kluczem do filozofii Passa. Odrobinę przyciemniony przekaz sprawiał, że studyjne, minimalistyczne nagranie zyskało na intymności i intensywności. Blisko podany, soczysty i nad wyraz sugestywny wokal Skoliasa sprawiał, że niezauważenie stawaliśmy się jedynymi widzami, adresatami, ba nawet uczestnikami, tego nagrania. Bez zbyteńnego wyostrzania i sztucznego rozdmuchiwania sceny wszystko toczyło się własnym, nieśpiesznym rytmem.

Bez nerwowości, bez prób odwracania uwagi słuchacza od meritum jakimiś trzeciorzędowymi wydarzeniami w tle. Jednak owa nieśpieszność daleka była od jakże irytującej i działającej na motorykę nagrań niczym pawulon ospałości. Bliżej jej raczej było do całkowitego spokoju wynikającego z dysponowanej mocy, lecz mocy używanej świadomie i z rozmysłem a przy tym wyłącznie w celach twórczych a nie bezmyślnie i destrukcyjnie. Co ciekawe kreowana przez amerykańskie combo przestrzeń była całkowicie zgodna z założeniami realizatora, a właśnie poprzez swoją naturalność stawała się tak oczywista, że aż pomijalna.

A właśnie - przestrzeń. Do weryfikacji tego aspektu prezentacji uwielbiam używać wydany nakładem Kirkelig Kulturverksted "Kristin Lavransdatter" Arilda Andersena. Niezwykle bajkowy klimat tego albumu sprawia, że już na otwierającym wydawnictwo utworze wiadomo, czy testowany system/komponent radzi sobie w tej materii, czy też niekoniecznie. Uprzedzając nieco fakty zdradzę Państwu, że amplifikacja Passa radziła sobie wybornie. Z jednej strony nisko strojone gęste, kremowe wręcz brzmienie saksofonów Tore Brunborga świetnie współgrało z lśniącymi partiami fortepianu Reidara Skaara, a z drugiej, gdy tylko zachodziła taka potrzeba swobodnie szybowało po wysokich rejestrach nie przejawiając nawet najmniejszych oznak zbytniego uspokojenia, czy zawoalowania. Dodatkowo do głosu doszedł jeszcze niesamowity, stoicki spokój i ujmująca niewzruszoność amerykańskiej amplifikacji. Począwszy od delikatnych przeszkadzajek i efektów przypominających trele leśnego ptactwa po mroczne, spektakularne i iście apokaliptyczne partie organowe („Nidaros”) nie sposób było do czegokolwiek się za przeproszeniem przyczepić. Dźwięk był naturalnie spójny i to taką pierwotną, organiczną spójnością - bez widocznych / słyszalnych szyc czy też sklejeń, bez prób maskowania ewentualnych niedociągnięć wypychanymi przed szereg mało istotnymi detalami. Było to ze wszech miar dojrzałe granie dla równie dojrzałego i świadomego własnych oczekiwań odbiorcy. Odbiorcy, dla którego nie liczy się pierwsze, krótkotrwałe zauroczenie, lecz wieloletnia i stała w swej intensywności satysfakcja.



Skoro dystrybutor dostarczył nam na testy potężne A-klasowe monosy nie mogłem odmówić sobie przyjemności i trochę połomotać. Jednak zamiast sięgnąć na półkę z mało cywilizowanymi odmianami metalu zdecydowałem się na bardziej "normalne", co wcale nie oznacza, że łatwiejsze do odtworzenia, klimaty. "Khmer" Nilsa Pettera Molvær a to jeden z bardziej zabójczych dla większości systemów krążek. To, co w drugim utworze wyprawia bas potrafi wywołać przysłowiowy opad szczęki nawet u doświadczonego słuchacza a u niedoświadczonego wytrzeszcz, niezbyt mądry wyraz twarzy a nawet napady obłąkańczego rehotu. Dość jednak żartów. Passy pokazały syntetyczne, iście sejsmiczne partie z właściwą masą i wolumenem i jak do tej pory jedynie monstrualne katafalki, przepraszam końcówki Octave Jubilee miały więcej do powiedzenia w zakresie kontroli i zróżnicowania najniższych składowych. Jednak to "trochę" inna półka (ok. 70 000\$) i wspominam o tym jedynie z recenzenckiego obowiązku bazując na swoim własnym, przez dłuższy czas odsłuchiwanym punkcie odniesienia. Nie uważam przy tym, że jest to wartość absolutna, gdyż pewne wzorcej referencje każdy z nas tworzy sobie na własny użytek a w

miarę zdobywanego doświadczenia większość z nich prędzej czy później i tak ulega zdewaluowaniu, zostając zastąpiona przez nie zawsze nowsze, lecz przede wszystkim doskonalsze konstrukcje.

Jednak nie ma tak dobrze, żeby w odtwarzaczu lądowały wyłącznie wybitne realizacje. Dlatego też nakarmiłem C.E.C.a ostatnią, zremasterowaną wersją "Misplaced Childhood" Marillion. Przepuszczony przez amerykańską dzielonkę głos Fisha nie stracił nic z zadziorności, jednak odpowiednie posadowienie całego spektaklu na solidnym basowym fundamencie sprawiło, że całość stała się bardziej spójna i komunikatywna. Z osłabioną jazgotliwością i krzykliwością, lecz przez to bardziej akceptowalnym aspektem jakościowym, który przestawał wreszcie przeszkadzać w delektowaniu się wyborną warstwą muzyczną. Oczywiście próżno po tego takim nagraniu było oczekiwać niemalże ECMowskiego, wręcz obsesyjnego przywiązania do stabilności lokalizacji źródeł pozornych, czy tzw. aury pogłosowej, lecz akurat w tym wypadku znaczenie miało zupełnie coś innego. Chodziło mianowicie o oddanie rytmu i autentyczności, prawdziwości artystycznej kapeli, co udało się po prostu świetnie, o czym świadczyły nasze rytmicznie podrygujące kończyny. Niezależnie od skomplikowania i złożoności odtwarzanego materiału Passy po prostu grały, tak jak założył ich konstruktor- bez wysiłku, na całkowitym luzie i ze spokojem, który przekazywały słuchaczom.

Możliwość odsłuchu tytułowego, dzielonego zestawu Pass Laboratories przynajmniej w moim przypadku był nie tylko recenzenckim obowiązkiem, lecz przede wszystkim potwierdzeniem i co najważniejsze utwierdzeniem się w przekonaniu, że prawdziwy, oparty na rzetelnej inżynierii, wiedzy i oczywiście pasji High-End ma się świetnie. Ba, nie musi też kosztować fortuny, by dostarczyć nam – słuchaczom prawdziwej przyjemności. XP-30 z XA 100.8 stworzyły duet (kwintet?) organiczny, homogeniczny i silnie uzależniający. Skupiając się na meritum reprodukowanej muzyki pokazywanej przez pryzmat własnego, firmowego – gęstego, bogatego i wyrafinowanego pod względem niuansów, niczym wyborny kilkunastoletni single malt z rejonu Highland, brzmienia stawia emocje i kulturę przekazu ponad techniczną bezduszością i laboratoryjną dokładnością. Nie wiem jak Państwa, ale mnie taka estetyka po prostu przekonuje. Werdykt może być zatem tylko jeden. Jestem na TAK!

Marcin Olszewski

**Dane techniczne:**

**XP-30**

**Wejścia:** 6 (RCA/XLR)

**Wyjścia:** 4 (RCA/XLR)

**Pasma przenoszenia:** 2 Hz - 60 kHz

**Wzmocnienie:** -90 dB to +10 dB w 99 krokach

**Impedancja wejściowa:** 42 kΩ

**Impedancja wyjściowa (RCA/XLR):** 120/120 Ω

**Przesłuch:** -100 dB, 1kHz Ref 1V

**Odstęp sygnał/szum:** < -110 dB, Ref 5V

**Pobór mocy:** 45 W

**Pilot:** Tak

**Wymiary (S x W x G):** 430 x 300 x 100 mm

**Waga:** 34 kg

**XA 100.8****Moc wyjściowa:** 100 W (8  $\Omega$ ); 200 W (4  $\Omega$ )**Pasma przenoszenia:** 1.5 Hz - 100 kHz**Wzmocnienie:** 26 dB**Impedancja wejściowa (RCA/XLR):** 50/100 k $\Omega$ **Współczynnik tłumienia:** 200**Pobór mocy:** 450 W**Wymiary (S x W x G):** 480 x 240 x 540 mm**Waga:** 52 kg